

JULES CLARETIE.

Tajemniczy oskarżyciel.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

9 Na niewielką estradę wystąpił reżyser, czy wywoływacz również w żałobnym stroju i zwrócił się do gości:

— Trochę cierpliwości, szanowni państwo — za chwilę przejdziecie z tego ziemskiego czyśćca do rozkoszy piekielnych. Ogień wulkaniczny spali wasze ciała na popiół i zostaniecie wyzwoleni. Panowie w białych krawatach przyjęli to przemówienie wybuchem śmiechu.

Bernardet przeciwnie czuł się cokolwiek zmieszany, chociaż nie brał zbyt do serca uwag swojej małżonki. Ale ten człowiek prosty, o zdrowej duszy i ciele, przyzwyczajony, jako agent policyjny, do widoku mordów wszelakich i nędzy ludzkiej — oburzał się w duchu i czuł się dotknięty w prostych swoich uczuciach przez te niezłowne żarty zblazowanych dekadentów.

Nagle na znak dany przez reżysera, ciemność objęła salę i lekki czerwony blask padł na malowidła ścian, które w jednej chwili przybrały dziwnie tragiczny wygląd. — Zamiast upudrowanych głów tanecznych par, przybranych w kwiaty i klejnoty, wystąpiły trupio białe twarze o żarzących się fosforycznie oczodolach. — Wszystkie zaś te ciała, przyobleczone w aksamity, jedwabie i lśniące tkaniny, przez jakąś grę świateł, ukrytych za ścianami, zamieniły się w szkielety, poruszające się złowrogo w takt cichej muzyki. Na scenę, tonącą również w zmroku, wystąpił znowu reżyser i patetycznym, donośnym głosem przemówił do zebranych gości:

— Oto to, co was czeka w niedalekiej przyszłości: zgnilizna i kościotrupy! Wy, Paryżanie strojni i weseli, noszący już zaczątki rozkładu ostatecznego w sobie.

Światło zajaśniało znowu w całej pełni i szkielety znikły, jak gdyby dotknięte łaską magiczną, ustępując pięknym Wenecyankom, kołyszącym się niedbale na lekkich gondolach.

Kilka kobiet na sali roześmiało się głośno, lecz były i takie, które zachowały aż do końca widowiska niesmak jakiś na twarzy i zmieszanie.

— Paryż jest dziwnym jednak miastem! — filozofował ze swojego kąta Bernardet.

Siedział oparty o ścianę, na której wypisane były różne sentencje i dziwaczne malowidła, wyobrażające śmierć w rozlicznych jej przejawach. — Zamyślenie jakieś ogarnęło go nagle. Dzisiejsze widowisko nie było dziś dla niego tak nęcącym, jak dawniej. Była chwila, że chciał już odejść i powrócić do domu, ale jakieś przeczucie zatrzymało go na miejscu.

Został więc spoglądając bacznie po obecnych i obserwując ich zachowanie.

Nagle drzwi sali otworzyły się z trzaskiem i na progu stanął wysoki, młody człowiek, o pewnych, energicznych ruchach i rozejrzał się uważnie wokół. Czarna, kręcona broda otaczała jego twarz bardzo bladą. Mógł mieć lat około trzydziestu i miał wygląd malarza lub też rzeźbiarza.

Spojrzenie ciemnych oczu twarde było i surowe.

Bernardet mimowoli zwrócił się w jego stronę, przypatrując mu się ciekawie. Nagle zadrżał lekko. Nieznajomy trzymał w ręce duży kapelusz z popielatego filcu, o płaskich, szerokich brzegach! Ten kapelusz przykuł całą uwagę Bernardeta.

Zapewne niejeden z mieszkańców Paryża nosił podobne okrycie głowy. — Ale twarz nieznajomego miała w sobie jakiś wyraz, który zelektryzował go. A gdyby to był ów młody człowiek, który sprzedał portret Jerzego Montin właścicielowi sklepu, pani Colard!

Bernardet doznał dziwnego wzruszenia i niepokoju.

Czyżby szczęście przyszło mu z pomocą i dopomogło do znalezienia współnika mordercy pana Rovere? Nie było to pewnem, ale mogło się stać prawdopodobnem! — Prawda niekiedy utworzona jest z nieprawdopodobieństw samych. — Jakiś instynkt ostrzegał Bernardeta, że ma przed sobą człowieka, którego tak dotąd szukał bezskutecznie. Uczuł silnie wstrząśnienie nerwowe, jak ktoś gotujący się do ostatecznej walki.

— To może on! To może on! — szeptał, popijając wino stojące przed nim — Ten wygląd nie-

codzienny, twarz całkiem mi obca, a przede wszystkim ten kapelusz!

Szczęście widocznie sprzyjało dzisiaj Bernardetowi.

Nieznajomy obrzuciwszy salę długiem spojrzeniem, wahał się chwilę w wyborze miejsca, poczem usiadł przy stoliku, stojącym naprzeciw ajenta.

Chłopiec w żałobnym ubraniu pospieszył natychmiast do nowego gościa i zapalił znajdującą się przed nim świecę w kształcie gromnicy. Blask jaskrawy padł na twarz nieznajomego, co dozwoliło Bernardetowi przyrzeć się dokładnie jego rysom.

Wystąpiła teraz jeszcze silniej matowa bladeść i wyraz nerwowego niepokoju, przebijającego się w oczach młodego człowieka. Zdawał się nie zwracać uwagi na uporczywe spojrzenia Bernardeta, ręce zmęczonym ruchem oparł na swoim oryginalnym stoliku i popijał wolno absynt z wysokiej, smukłej szklanki.

Bernardet poczuł natychmiast, że nie musiał on być stałym gościem „Kawiarni Szkieletów“, ani jednym z tych ludzi znudzonych, szukających tu chwilowej rozrywki.

Było coś w nim egzotycznego, co zwracało uwagę. — Oczy duże i błyszczące, mało ruchliwe, miały ten specjalny wyraz spotykany u ludzi przyzwyczajonych do wielkich przestrzeni i żyjących na wolnym powietrzu.

— To jednak ciekawe! — myślał Bernardet — Przecież ja o tym człowieku, którego szukam, nie wiem nic zgoła, oprócz tego, że miał duży, cudzoziemski kapelusz. Czuję taki mało znaczący rys pozwolił mi do odnalezienia go?

I już w głowie swojej Bernardet snuł plan, jakim sposobem zmusić tego nieznajomego do zdradzenia się.

Czekał, aż nadejdzie chwila, w której reżyser zjawi się na sali i oznajmi gościom, że przejść już muszą do grobów podziemnych, ażeby być świadkami dalszej części widowiska.

Niedługo czekał na tę sposobność.

Skorzystał z niej natychmiast i kiedy publiczność ze sali ruszyła ku drzwiom, podsunął się zrećnie do nieznajomego i nie odstępował go już, szedł za nim wąskim, ciemnym korytarzem, wiodącym do obszernej piwnicy, gdzie ustawiona była niewielka scena.

Na scenie tej stała trumna.

Było to jedyne w swoim rodzaju przedstawienie, którem właściciel „Kawiarni Szkieletów“ raczył swoich gości.

Bernardet znał je już dobrze i wiedział, przez jaką grę mechaniczną świateł różnorodnych, dawano tu publiczności złudzenie rozkładu trupa, leżącego w trumnie.

Widowisko podobne, lecz mniej udoskonalone oczywiście widywał na Monmartre w teatrzykach wędrownych, lub na wielkich jarmarkach w Neuilly.

Rzecz ta niegdyś zaciękała Bernardeta i usłużny właściciel „Kawiarni Szkieletów“ wytłumaczył mu cały mechanizm tego sztucznego złudzenia.

Teraz więc Bernardet chciał być świadkiem tej brutalnej parodii, lecz nie jako ciekawy i pragnący wrażeń widz. Wiedział dobrze, w czym mu to oryginalne przedstawienie posłużyć może.

Podziemie było pełne ludzi. Pomiedzy czarnymi ścianami piwnicy, zaledwie oświetlonej, stali mężczyźni i kobiety zbici w jedną olbrzymią grupę. — Wszystkie spojrzenia, błyszczące niezdrową gorączką, zwrócone były na scenę.

Ktoś czasem rzucił jakiś cyniczny żart, gdzieś niedziedzie rozległ się histeryczny śmiech bardziej przeczulonej kobiety. — Chociaż niewiara u tych wszystkich ludzi była ogólną i silną, widok śmierci czynił na nich nieprzyjemne wrażenie i niepokoił ich wzburzone umysły.

Bernardet nie odstępował na krok młodego człowieka o popielatym, szerokim kapeluszu filcowym.

Przy blasku, idącym od sceny, mógł doskonale widzieć jego twarz i badać jej wyraz.

A ta twarz blada o świecących oczach dziwnie odbijała się na tle półmroku obejmującego salę.

Przedstawienie rozpoczynało się.

Reżyser w żałobnym ubraniu wystąpił na przód sceny i poważnym głosem zapraszał, by który z gości zechciał zająć miejsce w przygotowanej trumnie.

— Panowie i panie! Kto z was pragnie się poddać tej nadzwyczajnej próbie. — Pozostali na sali ujrzą rzecz niebywałą i pełną grozy! Oto ujrzą przyjaciela swojego, brata, czy siostrę, tak, jak będą wyglądali po śmierci. W oczach ich przewinie się cały porywający i wzruszający widok rozkładu ciała i jego zgnilizny!

Ale na sali nikt się nie poruszył.

Mężczyźni uśmiechali się ironicznie, a kobiety z pobladłymi twarzami patrzyły przed siebie, wstrzą-

sając się nerwowo. Bernardet zaś patrzył i czekał. Wiedział, że nadejdzie chwila, w której on, zwykły agent policyjny, stanie się panem sytuacji i wzburzy w niejednym większy niepokój, niż ten, którego obecnie doświadczają, bo stanie się tym, który wolność i życie człowieka trzyma w swojej dłoni.

— Dalej, panowie i panie! — zapraszał ironicznie impresaryo — Jedna mała chwila decyzji, a dostarczycie swoim znajomym wielkiej radości. Dostarczycie im tej przyjemności, której za życia oglądać nie mogą. Ujrzą najlepszego może przyjaciela ginącego, rozkładającego się w ich oczach! Czy są pomiędzy wami ludzie zonnaci? Może pragną zakosztować zawczasu rozkoszy wdowieństwa? Czy nie chcesz pani ujrzeć swojego małżonka toczzonego przez robactwo i zgniliznę? Niecodzienny to widok przecież! Niech który z was się poświęci! No, dalej! Przybywajcie do mnie! Śmierć was tu czeka!

Śmiech na sali wzrastał się, śmiech nerwowy i histeryczny, brzmiący dziwnie fałszywą nutą. Ale nikt się nie ruszał. — Ta parodia śmierci niemiała była nawet dla tych zblazowanych i zdegenerowanych ludzi.

— A więc! — zawołał jeszcze impresaryo. — Widzę, że zaproszenie moje uznanem przez was nie będzie! Mamy tutaj trupa własnego, którym zaraz służyć wam będę. Ale szkoda! Wielka szkoda! Traciecie wiele subtelnych i niezwykłych wrażeń!

Począł jeszcze chwilę, a że nikt z gości nie zdecydował się podejść ku scenie, impresaryo ruchem ręki zaprosił jednego z żałobnych służących do wejścia na estradę. Sztuczny trup umieścił się w stojącej postawie w wąskiej trumnie, a impresaryo zarzucił na niego draperyę czarną i owinął go nią szczelnie, pozostawiając tylko twarz odkrytą.

Trup zamknął oczy i uśmiechał się.

— On śmieje się, moi bracia! — zawołał patetycznie impresaryo. — On jeszcze się śmieje! Ale ujrzycie wkrótce, jak ciężko ukarany zostanie za tę sztuczną radość ziemską. Chwile jego są już policzone! I Rzym śmiał się, a zginął przecież, jak powiada pan Bossuet!

Kilka oklasków podkreśliło ten nieoczekiwany żart literacki.

Bernardet jednak nie słuchał i nie śledził tak, jak inni, biegu przedstawienia.

Stał obok nieznajomego i badał twarz jego. Twarz ta zmieniła wyraz. Nie było już w niej tej skupionej uwagi i zaciękania, jakiego Bernardet dopatrzył się przed chwilą. Coś dzikiego osiadło na niej, podczas kiedy oczy błyszczały gorączkowym blaskiem!

— Przejmuje się widowiskiem! — pomyślał Bernardet. — Uważajmy dalej.

Rzeczywiście, zdawało się, że oczy nieznajomego nie mogą się oderwać od sceny. Zaciśnął wargi i z brwiami zmarszczonymi, jak gdyby przyciągnięty magnetyczną jakąś siłą, uporczywie spojrzeniem obejmował trumnę i leżącego w niej człowieka.

Sztuczny trup, niewygodnie leżący w wąskiej trumnie, uśmiechał się dalej.

— Patrzenie! Patrzenie dobrze i uważnie! — zabrzmiał znowu ironiczny, głęboki głos impresaryo. — Zobaczycie, jak brat wasz przyoblecze się w bladeść śmiertelną i stanie się koloru zgnitej twarzy. Następnie ciało od niego kawałami odpadać będzie i pozostanie tylko z niego szkielet nag! Pomyślcie bracia i zastanówcie się! Oto los, jaki was czeka, gdy opuścicie progi te. Pamiętajcie, że śmierć czyha na was na każdym kroku i podziwajcie cudowne widowisko, jakie wam daje „Kawiarnia Szkieletów“. Przypomina wam ono, że z prochu powstałiscie i w proch się zamienicie. Zastanówcie się nad życiem waszym i powiedzcie sobie tak, jak rzekł ten pijak, który nocą spotkał sąsiada swojego, leżącego w rynsztoku: „Oto, jakim stanę się w najbliższą niedzielę“. A tymczasem, bracia i siostry moje, śledzcie ciekawie przebieg tego wielkiego aktu natury, jakim jest śmierć!

Podczas patetycznej przemowy impresaryo, reflektory różnorodne, umieszczone w kulisach scenki, wywoływały na twarzy trupa z początku mniejsze, następnie coraz więcej rozprzestrzeniające się sine plamy. Wystąpiły one najprzód koło ust i oczodolów, zalegając następnie twarz całą, która stała się szaroziemistą barwy. Rysy twarzy, pierwotnie wyraźnie zarysowujące się, zdawały się zanikać, rozciągać i mięknąć, oblekając się w mgłę jakąś zielonawą, osiadającą na ciele i zacierającą wszelkie jego kontury.

Złudzenie było nadzwyczajne.

Przed oczami rozciekawionych widzów proces śmierci rozwijał się stopniowo z najdrobniejszymi szczegółami.

Nie był to już trup człowieka, leżący w trumnie